Nr. 1. 6. Marca 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 475¼.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

I.

W kółku rodzinnem.

Świadkiem pan Cześnik i jego dostojna małżonka, u których co roku w dzień św. Stanisława bywam z całą moją rodziną, jako też i pan Sędzia to samo poświadczyć może, że nigdy nie miałem zwyczaju, źle mówić o moich sąsiadach. A przecież Boleszczycy worali mi się w moje łąki, wycięli mi pięć najpiękniejszych dębów, a nawet rzucili kalumnią na moją żonę, jakoby ona była niedobrą kobietą i zbyt często mnie łajała. Jakkolwiek to niewiele kobiecie potrzeba, aby się fukać i w domu zrzędzić, to przecież każdy poczciwy katolik wie o tem, że trudno o raj na tym padole płaczu, i że często gęsto przyjdzie Bogu ofiarować zmartwienia domowe.

Ale wracam do Boleszczyckich.

Grunta Boleszczyckie zaczynają się zaraz za ogrodem starego mielnika Mikołaja Ryby, który lat trzydzieści służył u mnie za ogrodnika i trudnił się przy tem robotą stolarską. I on miał nieraz do czynienia z panami na Boleszczycach, ale o tem później.

Do samych Boleszczyc można z tąd zajechać prostą drogą za jakie dziesięć pacierzy, a gdy do tego dodasz »gwiazdo jasna i zaranna« to będziesz już przed samym dworem, do którego niegdyś prowadziły trzy wielkie gradusy. Dzisiaj stoi ten dwór pustką, wrony i sowy gnieżdżą się w dachu dziurawym a między rozsypanem rumowiskiem pełzają gady i inne obrzydliwe potwory.

A przecież pamiętam, że dawniej bywało tam inaczej. Gdy moją żonkę, którą rodzi JMPani starościna Przemyska, w dóm przywiozłem, a jest temu dzięki Bogu, lat pięćdziesiąt, zaprowadziłem ją do mojej apteczki domowej, do spiżarni i kuchni, okazałem jej oborę i całe obejście, ale że to było rozpieszczone paniątko, to zaraz do mnie:

— Wasze myślisz, żeś mnie wziął w służbę jakby klucznicę jaką. Pokazujesz mi wódkę zaprawioną kminkiem, suszone śliwki i sadło z przeszłego roku. Co mi do cieląt i gęsi? Niech mnie wasze zapozna z sąsiedztwem, niech wiem czy mogę tam bywać i bawić się.

Z razu chciałem się skrzywić na to, bo jakoś nie po myśli było mi takie gadanie młodej mojej żonki, ale zważywszy zaraz, że kobiecie w domu nigdy sprzeciwiać się nie trzeba, potarłem ręką po czuprynie i rzekłem:

— A jużci i to nastąpi moja królewno, myślałem tylko, że wprzódy trzeba się w domu rozglądnąć, czy wszystko —

Nie dała mi dokończyć moja śliczna Basia, bo zmarszczywszy białe czoło zapytała nagle:

— Gdzie jutro pojedziemy?

— Do JMPana Pawła, jeźli ochota, odpowiedziałem pokornie.

— Któż jest ten pan Paweł? poderwała szybko.

— Szlachcic na zagrodzie i dobry sąsiad, dorzuciłem.

— Czy ma dwór okazały?

— Ubogi ale poczciwy domek, rzekłem z odwagą.

Śliczna moja Basia rozśmiała się dosyć głośno, a choć już od tego czasu, dzięki Bogu, pięćdziesiąt lat upłynęło, ten śmiech jednak zatrzymałem dobrze w mojej pamięci, i ilekroć on się w tych pięćdziesięciu latach powtarzał, zwiastował mi zawsze coś niedobrego, o czem mój proboszcz ksiądz Jacek wiele mógłby opowiadać. Ale że to w dawnych czasach przygotowano nas na to, że życie ludzkie nie składa się z samych róż i kwiatów, ale że ciernie i głogi między nie się wplatają, toż nie straciłem odwagi i młodej żonce odpowiedziałem z należytą determinacyą:

— Jeźli ochota, to zaprzęgnę siwki do żółtej kolasy i zawiozę panią do Boleszczyc przed biały, okazały dwór, do którego wstępuje się po trzech, murowanych gradusach.

I któż mi powie, że nie wiedziałem, co mojej ślicznej Basi powiedzieć. Ledwo słowa moje usłyszała, uśmiechnęła się łaskawie, a ścisnąwszy mię za rękę, rzekła:

— Wiedziałam o tem, że mnie tylko na próbę wasze wystawiasz, aby się o moim afekcie przekonać. Jutro po obiedzie wybierzemy się żółtą kolasą, i tak jest pełnia na niebie, możemy bawić w gościnie do późnego wieczora.

Radowałem się sam sobą, że tak dobrym konceptem przysporzyłem sobie szczęścia w domu, bo też cały ten dzień była tak dobrej myśli, tyle mi krotochwilnych nagadała rzeczy, że zasnąłem szczęśliwy marząc o jutrzejszej wizycie.

Jakoż nazajutrz zaraz po obiedzie wyskoczyłem na kozieł żółtej kolasy, bo wewnątrz dla różnych pudeł i pudełek, które jejmość z sobą wzięła, nie było miejsca dla mnie. Za kilka chwil stała już nasza kolasa przed dworem w Boleszczycach.

Pan Jędrzej Boleszczycki był to sobie pan całą gębą. Cenił on wysoko swój klejnot starodawny,

który sięgał aż po czasy Bolesławowskie. Boleszczyce mają w herbie krzyż i podkowę, a to dla tego, że mieli pierwsi wynaleźć podkowy, i tym wynalazkiem przyczynili się do powszechnego dobra rycerstwa ówczesnego.

Przeszedłszy przez murowane gradusy wchodziło się do dużej komnaty, w której przy samych drzwiach była kropielnica z wodą święconą, wyobrażająca krucyfix na Golgocie. Z tej komnaty prowadziły drzwi na prawo do wielkiej, makatami ozdobionej sali, w której podejmowano gości znakomitych, a na lewo była tak zwana szara komnata, w której zgromadzała się zazwyczaj cała Boleszczyckich rodzina. A że pan Jędrzej właśnie coś na nogi zaniemógł a ciepło z kominka dobrze mu robiło, więc nie podjął nas, jak to miał zwyczaj, w sali makatowej, ale zaprosił do owej szarej komnaty, dając nam miejsce w swojem kółku rodzinnem.

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia, jakie wówczas zaznałem na widok tego naszego, staropolskiego »kółka rodzinnego«! Choć to jejmość moja, która rodzi JMPani starościna Przemyska, strasznie na to nosem kręciła, że jej niepodjęto w sali makatowej, a nawet wróciwszy do domu, przez całe trzy dni Boleszczyckim tego darować nie mogła, mimo to do dziś dnia niczego innego nie pragnę, jak tylko tego, abym po najdłuższe lata miał taki sam ciepły kącik koło ojczystego kominka, śród tak licznej a powolnej rodziny, jak to u JMPana Jędrzeja w Boleszczycach w tym dniu widziałem. I sam nie wiem, dla czego to właśnie w onym dniu ten widok kółka rodzinnego w Boleszczycach tak szczególne na mnie zrobił wrażenie. Zapewne przeczuwała dusza moja, że nigdy nie zaznam tej rozkoszy, która napawa serce na widok swego kółka rodzinnego. Bo w kole rodzinnem to jakoś i serce cieplejsze i człowiek staje się lepszym, i świat nie taki zły, jak to wydaje się człowiekowi osamotnionemu, którego wszystko gniewa i dręczy.

Takto w on dzień myślałem sobie siedząc koło JMPana Jędrzeja i niezważałem nawet że pan Sylwan, jak go tam z pogańska nazywano, drugi z kolei syn pana Jędrzeja, wysokie, wąsate ułanisko z pułku Działyńskiego, przysiadł się do mojej Basi i cały wieczor ją bawił, co mi potem w mojem pożyciu domowem niemało kłopotu sprawiło. Ale że to człek zwykł o złem zapominać, a tylko dobre pamiętać, toż i ja nie będę tutaj prawił o panu Sylwanie, który odtąd prawie codziennie w moim domu bywał, a gdym był w wielkiem nieszczęściu, to mi pomocy odmówił i jakby mnie nie znał, uciekł odemnie. Ale to zachowanie się pana Sylwana dowodzi tylko, że już w ówczas w tem staropolskiem »kółku rodzinnem« rozgościł się duch niedobry, który wkrótce potem, rozerwawszy węzły rodziny, poprowadził nas na różne bezdroża, i dzisiaj nad samym brzegiem przepaści postawił. Bo jakże to może się dobrze dziać w narodzie, jeżeli przy ognisku domowem, nie można skupić rodziny, a jeżli i spędzisz ją razem, to siedząc okok siebie każdy patrzy zyzem. Wszak z rodzin składa się naród, kółko rodzinne jestto ogniwo tego wielkiego łańcucha, a gdy to ogniwo nie jest spojone miłością i cnotą, jakiż tam łańcuch będzie?...

Ale wracam do Boleszczyc. Na dużem krześle najbliżej kominka siedział pan Jędrzej. Naprzeciw niego pani Jędrzejowa, staruszka bardzo gadatliwa, urodzona z Łąckich. Przy niej siedział Kajetan, najstarszy syn, głowa nie zbyt tęga, ale za to chłopisko co się zowie, jakby zrodzony do sochy i ekonomskiego batoga. Nie wiele zjadł on książek, to też nie mówił o niczem innem, jak tylko o tem gdzie siać jęczmień a gdzie pszenicę. Cały boży dzień wałęsał się po polu, krzyczał i hałasował jakby sułtan jaki, ale gdy nadeszła *„hora canonica“* i trzeba było zasiąść w »kółku rodzinnem,« to taki był cichy i pokorny, jakby i trzech zliczyć nie umiał. Tutaj kończyło się jego państwo i królestwo.

O Sylwanie już wspomniałem. Usiadł on obok mojej żony, a chociaż moja żona późno w noc prawiła mi o nim i nie mogła dosyć nachwalić się jego erudycyi i konceptu, ja jednak moim prostym rozumem odgadłem, że to było chłopczysko do niczego, pędziwiatr i wielki niestatek, jak to później okazało się. Nawet i pułk Działyńskiego porzucił utrzymując że ma prawą rękę złamaną, a przecież tej ręki wcale dobrze używał, jak to sam na własne oczy widziałem, gdy z moją Basią tańczył i jak wrzeciono z nią się wykręcał. Miał jednak dobre serce, tylko że długo w swoich dobrych afektach nie wytrwał.

Pan Amilkar, trzeci z kolei syn JWPana Jędrzeja, wyrostek udatnej postaci, siadł sobie w samym kącie, tak że go ojciec nie mógł widzieć. Spostrzegłem, że zbyt często patrzył w duże zwierciadło na przeciwnej ścianie, w którem mógł się cały od stóp do głowy widzieć. Snać go to mocno bawiło, bo przekładał nogę na nogę, podnosił to jedno to drugie ramię, marszczył czoło i co chwila podgartywał czuprynę, którą miał z francuzka utrefioną. Na jego młodej twarzy było już wiele dumy i pańskości i widać było, że myślą latał gdzieś daleko po nad ognisko domowe, i że tylko surowy wzrok rodzica trzymał go w tem staropolskiem „kółku rodzinnem.“ I miałem słuszność, bo gdy tego oka rodzicielskiego nie stało, to furknął ptaszek do cudzych bogów... ale o tem później.

Czwarty syn państwa Boleszczyckich nazywał się Makary. Biedny chłopiec musiał się aż z greckiej gramatyki dowiedzieć, że Makary znaczy tyle co szczęśliwy. Bo też wcale na szczęśliwego nie wyglądał Makary. Był garbaty, ospowaty, a do tego miał jedną nogę krótszą. Ksiądz Ignacy napędzał go od dziecka do książek, utrzymując, że z niego może być tylko uczony. Jakoż zgadł ksiądz Ignacy swoim wysokim rozumem, bo Makary grzebał w książkach po same łokcie, a pani Jędrzejowa z trwogą patrzyła na chłopca, mówiąc, że się pewnie nie wychowa, chociaż Makary miał już wtedy lat dwadzieścia kilka. Czytywał on jak mówili, Woltera ukradkiem a nawet umiał znaki farmazońskie, ale w „kółku rodzinnem“ tail się z tem wszystkiem i był synem najprzywiązańszym.

Tak to powaga rodzicielska panowała nad złym duchem, który zawsze lubił się czepiać młodszego pokolenia, ale przy ognisku domowem, przy ołtarzu pamiątek rodzinnych nie wziął ten zły duch nigdy góry nad sercem młodem, chociaż i krew młoda wielce mu sprzyjała. Dopiero gdy ogniska domowe pogaszono, gdy w „kółku rodzinnem“ przestano czcić pamiątki i wspomnienia domowe, zwyciężył ten zły duch nad nami i zaprowadził każdego w inną stronę....

Otóż zapomniałem jeszcze powiedzieć, że do tego „kółka rodzinnego“ należała panna Pulcherya, siostra JMPana Jędrzeja, pobożna i już wcale niemłoda niewiasta. Umiała ona mówić obcym językiem jak własnym i wesołe melodje grać na klawikorcie. Zajęła się przeto wychowaniem córki państwa Boleszczyckich, panny Anastazyi, która wtedy miała już lat ośmnaście. Była to panna ładna i wcale niegłupia. Dzieje ojczyste umiała na palcach, miała serce miłosierne i z sługami obchodziła się po ludzku. W kółku bowiem rodzinnem upłynęły jej młode latka, a jak to mówią, czem człowiek za młodu nasiąknie, tem będzie i na starość. A przecież tylko w kole rodzinnem może człowiek ogrzać i serce i duszę, i na drogę żywota wziąść sobie coś z tego ciepła, które tak hojnie tryska z domowego ogniska.

Jeszcze była tam i panna Klara, sierota i wychowanka pani Jędrzejowej, bo jużci żadne staropolskie „kółko rodzinne“ nie obeszło się bez sieroty, o której to dawniej mówiono, że na dóm sprowadza błogosławieństwo boże. I żadna staropolska matrona nie czułaby się szczęśliwą, gdyby jakiejś sierotki sobie nie wyszukała, nie umyła i nie ubrała i do rodziny swojej nie przyłączyła.

Pannę Klarę uważano tutaj jakby siostrę panny Anastazyi. Biedna sierota wypłacała się najgorętszem przywiązaniem do tego staropolskiego kółka rodzinnego, w którem nie czuła się więcej sierotą. Nawet pan Kajetan coś zbyt często rzucał oczkiem na pannę Klarę i rad jej krzesełko podawał, ale braciszek, pan Amilkar śmiał się z niego, utrzymując, że panna Klara nic więcej nie ma, jak dwie suknie jedwabne, parę zgrabnych trzewiczków i nosek do góry zadarty.

Był tam także i ksiądz Ignacy i pan Bartłomiej, krzwniak domu a bez fortuny. Teraz dopiero o nich wspominam, ale nie czynię tego, jakobym ich chciał kłaść na ostatniem miejscu, bo ludzi nigdy nie cenię wedle fortuny ani nawet wedle klejnotu, jeśli sami tego klejnotu nie rozumieją, ale cenię ich wedle dobrych uczynków.

I jak już mówiłem, w tem staropolskiem „kółku rodzinnem“ tak mi się dobrze zrobiło, żem nawet zapomniał w tej chwili o moim frasunku, jaki mnie napadł od dnia wczorajszego, w którym moja Basia po raz pierwszy tak dziwnie do mnie się roześmiała.

Ksiądz Ignacy kończył właśnie opowiadanie o cudzych krajach, o których był wczoraj wyczytał wiele rzeczy ciekawych, pan Jędrzej jeszcze to i owo z własnego doświadczenia do opowiadania księdza proboszcza dorzucił, a potem zwróciwszy się do mnie, w te ozwał się słowa:

— Zawsze miałem afekt do rodzica waszmości, panie Michale, a zatem wierzę że mimo młodej żonki nie zechcesz zapomnieć o życzliwym ci sąsiedzie. Jestem stary, mocno stary, a jakkolwiek w kole rodzinnem czuję się szczęśliwym, jednak po tem, czem w życiu już byłem, nie wystarcza mi to szczupłe kółko samych moich. Żyłem ja w czasach, kiedy to nas więcej razem się zbierało, a gdzieśmy nieraz wszyscy byli jednej myśli i jednego serca jakby rodzina. Dzisiaj zostało nam tylko to szczupłe „kółko rodzinne,“ jak jedna kropla wody z szerokiego morza. A chociaż w tej jednej kropli to samo widzieć można, co i w morzu, to przecież cieplej koło serca, kiedy to kilka takich kółek razem się zbierze w zgodzie i miłości. Wszak my jako sąsiedzi tworzymy także „kółko rodzinne,“ a niechaj nam tego kółka źli ludzie nie rozrywają.

To powiedziawszy spojrzał pan Jędrzej na portret w czarnych ramach, który tuż przed nim wisiał na ścianie i wyobrażał chudego z długą twarzą mężczyznę w żółtym kontuszu. Widząc to pani Jędrzejowa, chciała zapewnie małżonka od jakichś niedobrych wspomnień oderwać, bo rozpoczęła wcale inną rozmowę. Pan Jędrzej jednak wcale na nią nie zważał, tylko utopił oczy w tym konterfekcie, jakby wzrokiem swoim chciał go przebić.

Mimoto, że pan Sylwan coś bardzo do mojej żony się przysuwał, zebrała mnie jednak ciekawość przypatrzeć się bliżej temu konterfektowi. Ciekawość moja doszła do najwyższego stopnia, kiedy pan Jędrzej, który ciągle w konterfekt miał oczy wlepione, nagle pobladł i ręką twarz sobie zasłonił.

Konterfekt na ścianie wyobrażał mężczyznę z długim nosem i podgoloną nieco pałką. Miał wąsy w dół spuszczone, ale w oczach i koło ust było coś tak przykrego, że tak powiem, szatańskiego, że w samej rzeczy można było zblednąć od jakiegoś niemiłego uczucia. Do tego jeszcze szare światło i odblask z dużego zwierciadła sprawiały, że ta twarz szydercza zdawała się ożywioną, tylko usta otworzyć i przemówić. Ale oraz jakiś strach brał człowieka na to, coby ten konterfekt mógł wymówić, bo zdawało się, że jakieś okropne, złowieszcze słowo drgało na tych ustach, złośliwie zakąszonych.

To też i mnie zrobiło się ckliwo i byłbym może tak samo zbladł jak pan Jędrzej, gdybym sobie nie był w samą porę przypomniał na moją żonkę i pana Sylwana, którzy jak na pierwsze poznanie, coś za wiele z sobą rozmawiali. Ale pomyślawszy sobie potem, że pan Sylwan to człowiek bywały i o wielu rzeczach mówić może, spojrzałem znowu na ów fatalny konterfekt i na pana Jędrzeja.

Pan Jędrzej wyglądał jak nieżywy. Twarz miał ręką zasłonioną, a wszyscy milczeli prócz pana Sylwana, który, wydało mi się prócz mojej żony, nic w koło siebie nie widział.

W krótce ocknął się pan Jędrzej, a wstydząc się że przedemną zdradził się z jakąś ukrytą boleścią, któ-

*

ra serce jego toczyła, chciał być wesołym i począł nawet krotochwile opowiadać. Ale wszystko to jakoś mu się nie kleiło, bo od czasu do czasu zerkał na konterfekt, który co raz więcej się ożywiał i groził panu Jędrzejowi jakiemś okropnem, złowrogiem słowem.

A gdy jakoś nawiasem wtrąciłem, że zdaje mi się, jakoby ten konterfekt miał jakieś słowo na języku, a nie mógł wymówić, pan Jędrzej srodze na to się obruszył i rzekł z gniewem:

— O znasz waść to słowo, znasz je dobrze. Wszyscy je znamy od Dniepru do Warty i przeklinamy tego, który to słowo wymówił. Bogdajby było zastygło na języku, niżeli miało na nas sprowadzić tak wielkie nieszczęście! Dosyć o tem.

Rzekłszy to wstał z krzesła, a że już był wieczór i koło wieczerzy się krzątano, więc zaprosił nas pan Jędrzej do drugiej izby, w której zwykle stół zastawiano. Było widocznem, że pan Jędrzej chciał się pozbyć widoku tego szczególnego konterfektu.

Przy wieczerzy taka zerwała się burza, tak gęsto biły pioruny, że choć to do mnie zaledwo milę liczyć można, pan Jędrzej jednak jak najuprzejmiej nas obligował, abyśmy w Boleszczycach zanocowali. Na co także przystałem, nie przeczuwając wcale, że dzisiejszej nocy obaczę rzeczy, które na całe życie w pamięci mi zostaną. —

II.

Siciński.

Na dworze szalała burza tak okropna, że przy wieczerzy świece gasły na stole, a psy i koty pozłaziły się do izby i tuliły się do nóg naszych. Mówiono o różnych rzeczach i kilkakrotnie próbowano weselszej konwersacyi, ale że to człowiek zawsze z naturą sympatyzuje, toż trudno było opowiadać krotochwile, gdy ręka Wszechmocnego jakoby w gniewie rzucała ogień na ziemię. Nawet pan Sylwan, który, mówiąc nawiasem, podczas wieczerzy siedział przy mojej żonie, przestał jej mówić do ucha, i oboje wyglądali jakoś tak zamyśleni, jakby im kto podał jaką szaradę do rozwiązania.

Pan Jędrzej w końcu zupełnie umilkł i na twarzy znacznie przybladł. Widać było, że go coś mocno niepokoiło, za każdem uderzeniem okienicy obracał się do okna, jakby się czegoś obawiał. A gdy służba półmiski ze stołu zbierać zaczęła, obrócił się pan Jędrzej do żony i dosyć głośno zawołał:

— Jutro świętego Floryana.

— A tak, czwartego maja, odpowiedziała pani Jędrzejowa i z jakąś obawą spojrzała na męża.

Wydało mi się, że św. Floryan coś niedobrego miał tej rodzinie zwiastować, bo wszyscy zwrócili oczy na pana Jędrzeja, a potem po sobie spojrzeli i widocznie posmutnieli. Po czem ozwał się znowu do żony pan Jędrzej:

— Każ moje serce zanieść wieczerzę do szarej izby i kilka świec przygotować. Pawełek niech ogień roznieci na kominku i przygotuje suchych drew. Zresztą zrób tak samo, jak tamtego roku.

Z razu myślałem, że te przygotowania dzieją się dla nas, bo wiedziałem, że cała rodzina przepędza zawsze wieczorek w tej samej izbie przy kominku. Był to już u nas taki zwyczaj z dawien dawna, i jak tylko na dworze trochę pochłodniało, choćby i śród lata, zaraz rozniecano ogień na kominku. To też gdyśmy wstali od stołu, zaraz zwróciłem się do owej szarej komnaty, aby napowrót zająć dawne miejsce i jeszcze raz popatrzyć się na ów konterfekt zagadkowy, ale pan Jędrzej ułapił mnie za połę i rzekł smutnym głosem:

— Nie tam panie Michale, proszę na prawo. Jest to jedyny dzień w roku, w którym nie mogę z moją rodziną przepędzić wieczora u domowego ogniska. Wejdźmy do sali makatowej.

Jakoś chłodno zrobiło mi się, gdyśmy weszli do sali. Moja żona zarumieniła się wprawdzie i zrzuciła rantuch jakby jej tutaj goręcej było, a zbliżywszy się do mnie, szepnęła mi do ucha:

— Przecież Boleszczycy przyszli po rozum do głowy, gdzie kogo przyjąć należy.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo mi śród tych błyskotek i fraszek modnych jakoś tęskno było za tym kominkiem pradziadowskim, za temi szaremi ścianami i za tem ciepłem „kółka rodzinnego,“ które tam się skupiało, a tu w pysznym salonie, gdzieś daleko od siebie się rozbiegło. Nawet pan Sylwan oddalił się od mojej żony, i stanął w dużem oknie przypatrując się burzy i błyskawicom.

To też i sercom nie stało tutaj ciepła i język jakoś stwardniał, że nie można było kilku słów skleić do kupy. Napróżno próbowała panna Pulcherya rozweselić nas jakąś wesołą melodyą, którą zaczęła grać na klawikorcie, na próżno pan Sylwan przy wtórze klawikortu chciał jakąś ułańską piosneczkę do czarnych oczek zaspiewać; prócz mojej żony, która przypadkiem takie same czarne oczy miała, nikt jakoś nie słuchał miłosnych treli pana Sylwana.

Widząc wreszcie, żeśmy nie bardzo na rękę gospodarzowi, odprowadziłem żonę moją od klawikortu i szepnąłem jej do ucha, że czas, abyśmy udali się na spoczynek. Moja żona niebyła jednak tego zdania, i kto wie jak długo byłaby słuchała spiewek ułańskich, gdyby gospodarz nie był mnie wziął za słowo, mówiąc że już do spoczynku wszystko dla nas przygotowane. A że moja żona w takim razie fraucymeru potrzebowała, oddałem więc ją opiece pana Boga i pani Jędrzejowej, a sam pożegnawszy się z wszystkimi, udałem się do izdebki, którą dla mnie pan Jędrzej przeznaczył.

Jest to już w naturze człowieka, że nadzwyczajne zjawiska nieba i ziemi sprowadzają go na jakieś dziwne, niezwykłe myśli. W on czas radzi wierzymy w siły nadprzyrodzone, a każdy ciemny kącik napełniamy żyjącemi istotami. To też kiedy po niebie krzyżowały się pioruny, kiedy wicher tłukł okienicą o mur i żałośnie wył w konarach starych lip, przyszedł mi znowu

na myśl ów konterfekt w czarnych ramach i ta szara komnata, w której dzisiaj nie mogło się zebrać kółko rodzinne. I wziął mnie strach jakiś, jakiego dotąd nie zaznałem i zacząłem się po mojej izdebce oglądać.

Izdebka była mała jak cela klasztorna. Zdawało mi się, że niegdyś służyła ona za przedsionek do kuchni, z którego podawano potrawy do izby jadalnej. Nawet w jednej ścianie była zasuwka, którą zasłaniano małe okienko. Wprawdzie zalepiono to wszystko wapnem przy bieleniu i widać było, że tej komunikacyi nikt dzisiaj nie używał, zaledwo jednak rękę do tej zasuwki przyłożyłem, odsunęła się tak gładko, jakby dopiero przed chwilą był kto ją zasunął. I okazało się, że to okienko wychodziło do owej szarej komnaty, a nawet można było przez nie patrzeć wprost na ów konterfekt w czarnych ramach.

Strach mnie zdjął jeszcze większy, gdym to odkrycie zrobił, że sąsiaduję z szarą komnatą, w której przed chwilą tak dobrze mi było, a w której teraz przygotowywało się coś niedobrego.

Ogień jasny płonął na kominku, ale jakoś nie tak ciepłym wydawał mi się jego płomień. I nie dziw, bo wtedy siedziałem w kole rodzinnnem, a teraz patrzyłem z dala jak jaki obcy.... Na stole stało kilka półmisków z przekąską, a nawet i butelka czerniała się za nimi. Ale w komnacie nie było nikogo, tylko jakiś wiatr niedobry ciągnął do kominka i dmuchał na świecę, która stała tuż pod konterfektem. Zielona, szydercza twarz konterfektu uśmiechała się złośliwie, patrząc na zastawione półmiski i czekając gościa, dla którego to wszystko było przeznaczone.

Aby dziwnemi domysłami imaginacyi nie rozpalać i snu sobie nie popsuć, zasunąłem okienko a odmówiwszy „pod Twoją obronę“ zacząłem się już rozbierać, gdy się zwolna drzwi mojej izdebki otworzyły, a z nocną lampką w ręku wszedł do mnie pan Jędrzej.

Duch we mnie wstąpił, gdym go obaczył, bo mówiąc prawdę, coś strasznie począł szwankować mój animusz. Nie posiadam ja bowiem owej modnej nauki, która powiada, że niczego nie ma się lękać na świecie i że to co się dzieje, można wszystko cyframi obliczyć i przepowiedzieć. Mnie wychowano w dawnej naszej wierze, że wszystko dzieje się z woli Wszechmocnego, któremu służą niebo i ziemia. A że to człowiek nigdy nie jest bez grzechu, toż zawsze czuję bojaźń, gdy śród nocy na ognistym niebie odsłoni się ręka karzącego Sędziego. Dla tego rad byłem panu Jędrzejowi i serdecznie za rękę go ścisnąłem.

Pan Jędrzej miał zimną rękę, a na twarzy wyglądał tak blady i jakoś zmartwiony, że zaraz na wstępie rzekłem do niego:

— JMPanie Jędrzeju! Rodzic mój opowiadał mi wiele dobrego o waszej prawości, a chociaż za młody jestem i jeszcze w tych stronach nowicyuszem, to przecież nie weźmiecie mi za złe, jeźli waszmości o coś zapytam. Wszak między sąsiadami powinna być ta sama miłość co i w kole rodzinnem —

Surowa twarz pana Jędrzeja rozjaśniła się, a niedawszy mi dokończyć, zawołał:

— Dotknąłeś najboleśniejszej strony mego serca panie Michale, ale oraz cieszę się z tego, że poznaję w tobie człowieka, który wie, czego nam dzisiaj przedewszystkiem potrzeba. Oto miłości i zgody rodzinnej. Dopóty wiodło nam się dobrze, dopóki szliśmy drogą miłości i zgody, a gdy nas zaczęto dzielić na chorągwie i obozy, straciliśmy kredyt u całego świata, a dóm nasz runął nad nami.

Pan Jędrzej przestał na chwilę i przetarłszy oczy, mówił dalej:

— Nie może się dobrze dziać w narodzie, jeźli w rodzinnem kółku nie masz zgody i jedności. A czém że u nas rodzina dzisiaj? Pożal się Boże! Dzieci oddajemy obcym piastunkom i zamykamy się przed niemi, aby się naszym żywotem niegorszyły! Któż im da przykład cnót i ofiar? —

Uczułem prawdę tych słów, które pan Jędrzej z wielką wymówił boleścią, a chociaż w późniejszem życiu nie udało mi się tej prawdy do mojej rodziny zastósować, w samotnych jednak godzinach marzyłem zawsze o tem naszem staropolskiem ›kółku rodzinnem‹ z którego tyle naszych wielkich mężów wyszło! Otóż wziąwszy pana Jędrzeja za rękę rzekłem:

— Między pszenicą i chwast się pleni, a choć tu i owdzie nie ma dzisiaj rodzin przykładnych, toż przecie wiedzą wszyscy sąsiedzi, że u waszmości kwitnie w rodzinie dawny rygor i posłuszeństwo.

— Dobrzeć wasze powiedział, podjął szybko pan Jędrzej, tylko r y g o r i p o s ł u s z e ń s t w o a nic więcej.

— Jakto, a miłości i zgody nie ma? zapytałem zdziwiony.

Pan Jędrzej machnął rękę i rzekł po chwili.

— Jestem już mocno stary. Mnie dziś, jutro; a przecież chciałbym spokojnie położyć się w grobie. Z wszystkich moich sąsiadów, upodobałem sobie waszmość najlepiej, bo widzę, że dawny, poczciwy duch ożywia cię. Chciałbym dla tego połączyć waszmość bliżej z moją rodziną, abyś był jej radą i pomocą, gdy mnie nie stanie.

Podziękowałem staruszkowi za takie zaufanie, a on mówił dalej:

— Widziałeś całą moją rodzinę przy ognisku domowem i zdawało ci się, że w niej panuje zgoda i jedność. Gdzie tam! Wprawdzie na pozór wszyscy są dla siebie wylani, ale oko ojca zagląda w przyszłość! Panie Michale, to kółko rodzinne rozpryśnie się na tyle kawałków ile głów dzisiaj liczy!

Przypomniałem sobie moje spostrzeżenia w szarej komnacie i chciałem właśnie mówić coś o synach pana Jędrzeja, gdy tenże przerwał, mówiąc:

— Nie myśl, żeby wychowanie lub charakter którego z dzieci moich były powodem mojej obawy. Jest to już w rodzie naszym, że Boleszczyccy w ciągłej są niezgodzie i tylko mnożą akta sądowe. Dla tego to trzymam całą moją rodzinę w kupie przy ognisku domowem, w nadziei, że tym sposobem zniknie z pomiędzy nich duch rodu, duch niezgody.

— Duch rodu? powtórzyłem z ciekawością.

— Tak jest, zły duch rodu, mówił dalej pan Jędrzej, który błąka się po komnatach rodziny Boleszczyckich i rozrywa koło rodzinne!

Pan Jędrzej spoczął tutaj, bo jakoś bolesnem było mu wspomnienie tego złego ducha. Po chwili mówił znowu:

— Widziałeś zapewne w szarej komnacie konterfekt w czarnych ramach.

Odsłoniłem ucho, bo mnie straszna wzięła ciekawość i mimowolnie spojrzałem na okienko do szarej komnaty.

— Jest to konterfekt jednego z przodków moich po kądzieli, mówił z wolna pan Jędrzej.

— Ten szlachcic w żółtym kontuszu....

— Jest Siciński.

— Jak to, ten poseł Upitski? krzyknąłem i porwałem się na nogi.

— Ten sam, odparł smutno p. Jędrzej — moja babka była z domu Sicińska.

Zamknąłem oczy, bo nagle przedemną stanął ów nieszczęsny konterfekt, wyobrażający człowieka, który tyle nieszczęść na nas sprowadził, a którego słusznie po dziś dzień zowią ojcem niezgody.

— I dla czego on tam wisi przy ognisku domowem? zapytałem.

— Trudna rada, odparł pan Jędrzej, są rzeczy których nie dociec naszym rozumem. Mój dziad przez niezgody domowe stracił był Boleszczyce. Ojciec mój wrócił znowu do nich wykupiwszy je od krewnych babki mojej. Wtedy to kazał ten konterfekt wyrzucić z szarej komnaty. Ale zaraz umarł mój najstarszy brat, potem umarł drugi i trzeci. Ojciec używał różnych sposobów, radził się doktorów i znachorów. Aż razu jednego przyśnił mu się Siciński, wyrzucał mu, że tak źle z nim się obszedł, i zagroził, że cała rodzina do szczętu wymrze, jeźli mu odmówią dawnego miejsca w kółku rodzinnem. Wtedy to kazał go ojciec oprawić w grube, dębowe ramy, które w mur wpuszczono i czterma goździami które aż na drugą stronę ściany sięgały, przymocowano. Odtąd nie umiera nikt w naszej rodzinie, ale zły duch rodu patrzy na nią, gdy się zbiera u domowego ogniska i zażega w niej przyszłą niezgodę.

Widząc pan Jędrzej, że na te słowa jego mocno posmutniałem, wziął mnie za rękę, uścisnął i mówił dalej:

— Tak jest, duch Sicińskiego błąka się w rodzinie Boleszczyckich, błąka się po dworach i podsyca nasze niecne namiętności. Już dzisiaj nie mamy nawet wyobrażenia, co to jest dobro powszechne, bo każdy tylko o sobie myśli, coby zjadł i wypił, i jakby to nad innych mógł się wywyższyć.

Tutaj drzwi zaskrzypiały. Pan Jędrzej słuchał czas niejaki, a westchnąwszy głęboko, wziął lampkę, powiedział mi dobranoc, i niedokończywszy rozmowy, odszedł odemnie.

W dziwne usposobienie wprawiła mnie ta nocna wizyta pana Jędrzeja, i jeszcze dobrze tego wszystkiego co mi mówił, w głowie nie uporządkowałem, gdy w szarej komnacie usłyszałem jakieś kroki i suwanie krzeseł. Zrazu myślałem, że to pan Jędrzej poszedł tam zajrzeć, ale gdy sobie przypomniałem, o czem przy wieczerzy mówiono, wielka zebrała mnie ciekawość, obaczyć, co się to dzieje w szarej komnacie.

Przystąpiłem ostrożnie do owej zasuwki, przyłożyłem ucho — było cicho jak w grobie. I pewny, że tam nikogo nie ma, odsłoniłem okienko. Ale któż opisze moje zadziwienie, gdy w dużem krześle przy kominku obaczyłem — Sicińskiego! Siedział rozebrany i grzał się przy ogniu. Na drugiem krześle leżała przemokła odzież jego. Wyglądał znużony, jakby z dalekiej przyjechał drogi. W komnacie niebyło więcej nikogo. —

C. d. n.

---

23. Lutego *).

„... Galilee, vicisti! —"
„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło!

Drzy arfa Dawida — i strōna trącona
Po wiekach tak wielu — na wieki znów kona,
Duch słowa wielkiego i hasła:
Co dan był, jak rosa,
Uleciał w niebiosa —
I gwiazda dla ziemi zagasła...

Z przymierza kapłanów — po duchu rycerzy
I lutnia w ojczyźnie i oręż się dzierzy,
Więc z chwałą w pokoju duch staje, —
I świadkiem dóm stary
Miłości — ofiary,
Co z ziemi się bierze i daje.

I świadkiem jest Naród — bo pękło ogniwo,
Co pieśnią serdeczną wiązało nas żywo.
Z tajemnic duchowych poczętą!
Bezbrzeżną — bezmierną
Proroczą — eterną
Jak drzenie gwiazd Bożych — tak świętą! —

Drzy arfa królewska — bo pokój wieczysty
Już zamknął te usta nowego psalmisty,
I zwłoki już jego grób kryje:
O duchu w przymierzu!
O wieszczu-rycerzu!
I wieluż ja jeszcze przeżyję?...

Zamknęły się usta — lecz pieśń się powtórzy
Żywotem Narodu w wiekowej podróży —

---

*) Jest to dzień śmierci Zygmunta Krasińskiego. Powyższym utworem zapisuje jeden z najznakomitszych naszych poetów dzień ten w pamięci narodu.

O pośmiertnych pismach Zygmunta Krasińskiego zdamy sprawę w najbliższych numerach.

I pójdzie jak mściciel w świat dalej:
Bo skoro zaboli
Świat męką niewoli,
To Twoją się pieśnią rozżali.

Po wielkim żywocie cierpienia i chwały
Gdy duchem się dzielim, — nam tylko zostały
Puścizną twe szaty podróżne,
I imię Twe z chwałą,
I miejsce zostało
Jak przestrzeń eteru tak próżne!

W sieroctwie po duchu i w serca żałobie
Czem poczcim my Ciebie? — Na grobie
Krzyż — arfę i szablę położem:
Boś śpiewak był Pański,
I rycerz kapłański,
Co brzydził się hańbą i nożem.

Boś z piekła ziemskiego, z Bożego kochania.
I z męczeństw Narodu, z Cherubów śpiewania
Do pieśni brał perły i przędzę:
I z góry niebieskiej
Płaszcz opadł królewski,
Co okrył zgorszenie i nędzę.

Pieśń Twoja nad ziemią, to niebo szkarłatu,
Na wielkie świadectwo i ziemi i światu —
Pieśń wieku — za Naród — na czasy:
Jak rycerz orężna,
Jak Cherub potężna —
I poszła z zapasu — w zapasy!

Z pomiędzy wybranych raz jeszcze wybrany!
Twe imię w Narodzie, to balsam na rany.
Szermierzu wielkiego zawodu!
Nie wielom tak padło
Na dziejów zwierciadło
Wypłynąć jak „łabędź“ Narodu.

Po wiernym żywocie Bożego przymierza,
Po męce śpiewaka i walce rycerza —
I dreszczach proroczej boleści:
Spoczywaj w pokoju
W światłości tej zdroju —
Od której ponawiasz nam wieści!

Spoczywaj w pokoju — po próbie za wielu!
Spoczywaj w pokoju! — boś stanął u celu —
Jak żołnierz Chrystusów ochotny:
Spoczywaj w pokoju!
Po Bożym tym znoju —
O wielki! natchniony! samotny! —

ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO,

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięztw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych? Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w tej mierze historya wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi naszej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a nie zasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastyi Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy poźniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemże ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przedwszystkiem przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką w różnych epokach dawnego państwa Polskiego przedstawiały różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu. W ówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony krakowskie, sędomierskie, Malicowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII. i XIII. wyliczają nam prawie też samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną

mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie! Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu owdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkiemi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskiemi gdzie niegdzie zgliszczami na Podolu i trawne oczerety a stepy ukraińskie. Z tąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, byłto zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym poźniej stanąć miały przemnogie wsie i miasteczka. Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco dalej nad Dniestrem wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadł około 13go darem Władysława Jagiełły całą poźniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnym Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo dogodności i nazwy księztwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księztwo Podolskie z dalekiemi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen, i osiadał na nowym gruncie. Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie. Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenty ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawili ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów poźniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli. Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, korczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopa. Wiele z owych wiosek drobno szlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedyńczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się poźniej w dzisiejsze wsie szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad dawnych województw Ruskiego i Bełzkiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach!

Ale historyi takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś u dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, z kąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątaką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za skazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającemi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Ztąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania osad wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże poźno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu obwodowych miast dzisiejszej austryackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełzkiego i podolskiego, tylko trzy stare grody Lwów, Przemyśl i Sanok znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie. I tak Rzeszow i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyą. W miejscu dzisiejszego Sambora stało

spustoszałe sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około r. 1390 założył miasto Sambor. Złoczow należał w wieku XV jako wioska do dóbr oleskich, i wzniósł się dopiero za Sienieńskich, Gorków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięcią laty pierwej, za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żołkiewski około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki około r. 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastał Czortkow r. 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich. Ledwie też nie każden z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wznieśli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustań czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. Zamojscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów niegdyś Rogóźno, 1588 Krzeszow. Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około 1548 Tarnogórę. Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553 Suchostaw czyli Jabłonow, około r. 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kuty. Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizow, 1566 Dobromil. Żorawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. Lipscy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskiem. Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów niegdyś Domanysz. Tarłowie 1570 Mikołajów. Fredrowie 1580 Niemirów. Firleje 1570 Firlejów. Reje 1547 Rejowiec. Jordanowie 1595 Mikulińce. Sienieńscy 1504 Pomorzany. Jazłowieccy 1559 Barysz. Mieleccy 1548 Ujście nad Dniestrem. Strusiowie Strusów. Opalińscy 1638 Opalin. Maciejowscy 1557 Maciejow. Płazowie 1615 Płazów. Pileccy 1569 Sokołów. Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacyj miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk. 1400 Hrubieszów. 1420 Dunajów. 1424 Sokal. Około 1431 Mrzygłód. 1431 Radymno. 1455 Rawa. 1471 Komarno. 1471 Kamionka strumiłowa. 1510 Żurów. 1515 Uhrynów. 1516 Załośce. 1525 Husaków. 1530 Borek. 1538 Wareż. 1549 Budzanów. 1549 Mosty wielkie. 1559 Husiatyn. 1571 Rozdoł. 1588 Dubienka niegdyś Dębno. 1588 Korytnica niegdyś Wręby. 1591 Magierów. 1610 Baligrod. 1611 Janów. 1615 Sasów. 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk. Na początku XVII wieku Brody. Po 1665 Uścieczko nad Dniestrem. 1671 Wielkie oczy i t. p.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom Ruskiemu, Bełzkiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XVI; wzmagała się ona w wieku XV, upadała w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało właściwie z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek do koła. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się w ówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenty fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nietyle z ubóstwa ile raczej z niecheci ku innym zajęciom życia a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewnie w nierównie większej połowie rękoma swoimi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swojem staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali. Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliższe Wiśle województwa Ruskie i Bełzkie czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciasniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi podolskiej i ukraińskiej. Jakož w tym samym czasie kiedy kolonizacya stron naddniestrzańskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dniestrem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy było dziełem nieskończenie trudniejszem, i musiało nawet dwukrotnie być podjętem. Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięciuletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy w skutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem Andruszowskim r. 1667 a połową nastepnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmieleckiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowia ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam" — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuzki Beauplan — „ja sam założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1000 osad urosło." Na każdem pustkowiu

zakładano z taką skwapliwością nowe wsie i miasteczka, iż nastał wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która poźniej okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Pereasławia. Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o takąż nowo przezeń założoną osadę czyli słobódkę, której jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarości Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi spółczesny Jerlicz. „Niegdyś za królów Kazimierza i Alexandra Jagiellończyków“ — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzów małorosyjskich — „kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenty nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalszych zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną.“ *) (*Dok. n.*)

ŻYCIE I SPRAWY MARTWYCH.

I.

Krzemień i wapno.

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orłom pióra.

Pieśń o ziemi naszej.

Nagie a wysokie cyple naszych Tatrów — dziki a rozhukany ten nasz Dunajec! Pomiędzy ciemne, ponure skały wapienia przeżyna się zuchwalec dwoma ramiony, rozdziera je po sztuce, kruszy i łamie skaliste brzegi granitu gnajzowego, a szumiąc i mrucząc unosi w swém łonie szczątki zniszczenia. Stare lasy, na wysokich górach co raz bardziej karlejące patrzą na to i milczą. Niebo tylko i ziemia jego świadkami; rzadko ptastwo krzykiem przerwie głuche milczenie zmartwiałej przyrody.

Lecz z wiekiem powagi przybywa, bo choć Dunajec, młodzieniec pełen ognia i swawoli ciska się i broi, to czyni to tylko póki jeszcze w silnéj opiece ojcowskiej

Pod wałem z głazów gdzie puszcze są chwastem,
Pod wieżycami gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów a z orłów szyldwachy;

*) Zapiski o južnoi Rusi. Izdał P. Kulisz. Peterburg 1856-1857. tom I str. 88.

poważnieje atoli gdy mężniej a wolniej w dolinę się rozlawszy, mniejsze skał złomy, okrągły szuter i piasek biały niby szatę po bokach roztoczy — i środkiem wymuli niby pierś kamienną. A tam wznoszą się nagie owe wysepki na zielonem tle rzeki, puste i martwe owe ławy piaskowe, co je czasem tylko trawa gdzieniegdzie porasta.

Toż z lekceważeniem stąpa człowiek po tych ławach pustych, potrąca nogą pogardliwą okruchy wapienia, kwarcu lub krzemienia — bo to natura dziś martwa, tłum pogrążony w śmierci i bezczynności. Jakiś pieniądz zardzewiały, ułomek cegły z Niniwy, szpargał pergaminowy zamierzchłych czasów zajęłyby go niezawodnie; mowy zaś kwarcu i wapienia nie chce słyszyć bez ubliżenia własnéj dumie człowieczej. — A przecież one otwarły mu oczy, żywią go i stroją!

Dziwna ta niewdzięczność, ta obojętność człowieka dla przyrody, rzadkich ma ona przyjaciół! Wielu unosi się nad jéj pięknością, pieje na jéj cześć — lecz czyż pochwała w ogólnikach wystarcza dla zabrania z nią ścisłéj przyjaźni? Zbliżcie się do pyłku kwiatowego, do kropli wody, do ziarna piasku z chęcią widzenia — a zobaczycie świat cały. Nadeszła pora zawarcia serdecznej przyjaźni z przyrodą, tłumaczenia jej mowy i znaków, kiedy człowiek-mąż uwolnił się nieco z pętów własnej ciemnoty. Minął ten czas kiedy człowiek-niemowlę tulił się pod skrzydła opiekuńcze przyrody, gdzie mowę jej i znaki przeczuciem i wyobraźnią dziecięcą odgadywał - te czasy kiedy to

. . . . . ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były;
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali;
Bo nie gardzili na ówczas przyrodą;
Bo ją jak matkę znali i kochali.

S. Goszczyński.

Podobna kropli roztopionego kruszcu tężała ziemia nasza w obec milionów płanet wirując bez ustanku jako ich cząstka. Lecz któż zdoła zwięzić od razu ogniem rozpasane siły? Kipiało i wrzało w wnętrzu ziemi, od czasu do czasu łamała się i dziurawiła wątła jej skorupa, a roztopione masy śród huku i dymów rozlewały się po powierzchni. I tak tworzyły się formacye plutoniczne. Ale czas zwalczający wszystko uporną wytrwałością i tutaj zwyciężył. Zwolna grubiała coraz mocniéj twarda powłoka ziemi — a jeżeli teraz jeszcze zdołało ją co przedrzeć to chyba młot Wulkana po którego uderzeniu zgęstniałe wnętrze ziemi wytryskiwało i krzepło w góry granitu lub słupy bazaltu. A w przestrzeniach świata coraz chłodniej a zimniej się robiło. Z tąd też para wodna ziemię otulająca gęstniała w krople i spadała deszczem. I wody stanęły na ziemi i jaśniej zrobiło się w przestrzeniach — lecz martwe i głuche było wszystko, tylko *duch boży unosił się ponad wodami.*

W wnętrzu gór, na dnie wód i w łonie ich roztworzone, stanowiły krzemień i wapno największą część skorupy ziemskiéj, co silnemi już ramiony więziła wnętrzne wulkany. Więc w ścisłą przyjaźń weszły ze sobą; a drzemiąc w gór głębiach, poczęły śnić o pstrém życiu na świe-

tlnéj powierzchni ziemi, która w kwiat i drzewa stroić się poczęła. I wnet urosły w przedziwne krzyształy, mieniąc się pstremi barwy, niby kwiaty podziemnego świata; a niewyczerpane w wynajdywaniu barw i kształtów, budowały i zdobiły wyniosłe góry, które wziąwszy na siebie szaty z lasów zielonych po ziemi się rozeszły. Szumiące wodospady niby śpiewy ptastwa przygrawały im pieśnią przyszłości.

Ileż tych kszałtów! W samotnych jamach ogniowych skał, jako skrzepłe iskry lub skamieniałe promienie wody tkwią wysmukło zbudowane krzyształy kwarcu; tu ledwo dostrzeżone — tam zaś jako ułomki szklannego łuku fontanny. Na wyspie Madagaskar są one objętości 15 do 20 stóp — gdy Ren tymczasem kroplami kwarcowemi niby łzami zmarzłemi do morza płacze. Podłużnemi krzyształy niby berłami królów błyszczy krzemionka w kruszcowych pokładach Węgier — na wyspie Jawa leżą luźnie w piasku iskrzące jej promienie.

W szklanne szyby, w potłuczone skały, w marmur biały jak śniegu lawiny, lub w ruiny i arabeski pomalowany — urósł wapień. Krami lodu przejrzystego zamarzł w Islandyi — zapatrzył się na kształty kwarcu, i sześcioboczną piramidą urosnął w górach Arragonii. Skałami mleka skrzepłego zbudził się w Attyce i w Karrarze — czarnemi lub pstremi a nagiemi cypliskami przebija obłoki w Alpach i Tatrach naszych.

A jakie bogactwo barw! Niedotlenkiem manganu zabarwiona krzemionka, w krzyształach, sztabkowych masach, lub próżnych wewnątrz kulach jak w gnajzie, błyszczy fioletowo, to Ametyst; krwistym połyskiem choć nie skrzepły w krzyształy celuje krwawnik. Tęczą barw mieni się Opal szlachetny, choć także niekształtny bo wody się napił; a czerwony i żółty Jaspis, niebieski i biały kształtem gron zmarzły Chalcedon, to jego pokrewni. Inny krzyształ połknął kłąb dymu i zamknął go wewnątrz; szafirowo, mleczno, różowo drugie zabarwione świadczą o tysiącznych kolorach krzemienia. Okiem kota patrzy na świat zielona gałka kwarcu włóknami asbestu przerośnięta; morzem zieleni się Plasma, jabłkiem niezrałem Chryzopras — wstęgami pyszni się Achat. — Istny to kameleon. Brunatny atoli lub szary, o kulistym lub sferoidalnym kształcie, w pokładach nowszego wapienia nazwany leży właściwy krzemień choć niewłaściwie uspiony — gdyż i on nasycony wodą. Prawdziwym zaś praojcem krzemieni, krwi czystej — bo czystym krzemem w połączeniu z tlenem [1]) (kwasorodem), jest kwarc — krzyształem górskim nazwany.

I wapień niemniej w barwy bogaty. Czarny, szary, czerwony, niebieski, i różnie a przedziwnie porysowany przedstawia się w marmurach. Z włoknistych krzyształków złożony, tworzy Alabaster. Żelazem lub bitumicznemi częściami zabarwiony, połyskuje się kolorem bursztynu. Niby soplami lodu zwiesza się po grotach zmieniony w tak zwane stalaktyty i t. p. A i woda, gdzie z większych głębi wytryskuje, przynosi naszych przyjaciół na świat. Wapień we Warach Karłowych, krzemień w Gajzerze na Islandyi powlekają sobą wszystko i w kamień przeobrażają, czego się tylko dotkną.

[1]) Jest on właściwie kwasem krzemowym połączenia chemicznego: $Si\ O_3$

Tak rosnąc w barwy i kształty nieomieszkali oba przyjaciele, jak wyżej wspomniono, tworzyć także społem góry i pokłady. Krzemień zmieszał się w granit i gnajz z miką (łyszczykiem) i feldszpatem; stanowi część łupków składową; tworzy piaskowce różnego wieku, piaskiem się rozsypał i dotąd rozsypuje. Wapień różnego wieku tworzy szczyty i podnóża — zmieniony w kredę zalega płaszczyzny lub zwiesza się brzegami ponad morza. Wspólnie zaś tworzą tak zwane brekcye i zlepiszcza (konglomeraty). Nierozdzielna więc przyjaźń prawie wszędzie ich łączy.

Dziwnie przyjaźnie rozgościli się także i u nas. Wielką rolę gra krzemionka w naszych górach; główną bowiem formacyą całego łańcucha karpackiego od Szlązka aż po Siedmiogród jest piaskowiec, karpackim nazwany, poprzerzynany często wapieniami do niego należącemi. W Tatrach obok granitu gnajzowego którego kwarc częścią jest składową, wznosi się także potężna formacya wapienia przechodowego wraz z skałą kwarcową. W równinach Podola napotykamy niespodzianie znowu wapienie przechodowe i czerwony piaskowiec [2]) w łożysku Dniestru i rzek od północy do niego wpadających.

W górach Sandomirskich zjawia się napowrót tenże sam wapień wraz z brekcyami, oraz z skałą kwarcową i młodszemi piaskowców formacyami. Na granicy Szlązka razem z pokładami węgla kamiennego zjawiają się także wapień getyngski, zlepiszcza, sławne marmury w Czerny, Dębniku, Szklarach i t. d. Reszta kraju zasuta jest mniej więcej najmłodszemi formacyami warstwowemi, jako to: młodemi piaskowcami, opoką, kredą — wreszcie piaskami osadów trzeciorzędowych, gliną napływową i t. d. Możnaby więc powiedzieć, że Polska na wapnie i krzemieniu stoi.

W naturze niema i chwili spoczynku. Toż i przyjaciele nasi urośli już w kształty, zabłysnęli tysiącznemi barwy, utworzyli góry i pokłady, żywili nawet treścią swą rośliny w wielkiej części — lecz wszystko to za mało im było jeszcze! —

Zarodki życia, doskonalszego jeszcze niż w roślinach, znajdowały się w wodzie; -- nie mogły jednak w kształty się przyodziać. Pożyczmy im naszych cząstek! — rzekł wapień do krzemienia — i pożyczyli. I oto zaroiło się morze wymoczkami, muszlami, polipami (zwiérzokrzewami) ślimakami różnego rodzaju — a wreszcie i rybami. Krzemień ukuł wymoczkom pancerze, wapień zbudował chaty ślimakom, pnie polipom, koście i oście rybom i morskim potworom. Lecz była to pożyczka, którą oddać wypadło. Wymoczki, rozmnażając się z siłą której przykładu gdzie indziej w świecie niema [3]) umierały — i znowu tworzyły pokłady; lecz ileż to ich rodzić się i umierać musiało, kiedy ich milion na cal kubiczny, a 780000 milionów na funt potrzeba? A przecież piaski, rozsute w pustyniach Sachary, przy ujściach rzek Elby i Nilu — podłoga pruskiej stolicy, w największej części z pancerzy żyjątek tych utworzone. Oto ogrom natury w najodrobniejszem jej stwo-

[2]) Ten kamień nazwany u nas Trembowelski dostarczył materyału na chodniki w naszem mieście.

[3]) Żyjątko takie rodzi cztery innych na dzień, w dziesięciu dniach liczy już milion potomstwa.

*

rzeniu! — Ślimaki i muszle zmarłe — lub rewolucyami ziemi pogrzebane tworzą nam po śmierci całe góry wapienia getyngskiego (Muschelkalk). Nasz piaskowiec karpacki i jego wapienie, mnóstwo mają tych zakamieniałości.

Ale były nietylko w wodzie, lecz na ziemi i w powietrzu podane już warunki do istnienia doskonalszych istot. Z pożytych roślin czerpiąc wapno na kościstą budowę rozbiegły się zwierzęta po ziemi, a śpiew ptaków rozległ się w powietrzu.

I wszystko oczekiwało przyjścia pana ziemi, coby potęgą umysłu ogarnął stworzenie wszelakie, coby cząstką myśli bożej obdarzony, zastanowił się i użył wszystkiego wedle przeznaczenia. Cisza, zgoda i spokój uroczysty w naturze były przedśpiewem do ostatniej a najwznioślejszej chwili.

I oto — zwierzęta ucichły na ziemi — ptastwo zgubiło pieśni gdzieś w chmurach — kwiaty i drzewa zdrętwiały tuląc się do łona matki — a Bóg przelewał w ciało myśl swoją w tej chwili — tworzył człowieka. —

D. n.

OFIARA I SUMIENIE,

dramat opowiedziany przez J. Korzeniowskiego.

Wilno 1860.

Nieraz, w czasie letnich wycieczek z miasta na wieś, w urocze okolice naszych karpat, wychodziłem na brzegi Prutu przypatrywać się żywemu biegowi żywiołu, który mię, dziwnem usposobieniem mojem, zawsze nastraja do poważnych myśli. Ta przejrzystość krzyształowa, właściwa rzekom górskim, niejestże podobną do owych czystych charakterów, na których dnie wszystko jasno widzisz? Te srebrne fale goniące za sobą i prześcigające, się niesąż to chęci, zamiary, zabiegi i usiłowania ludzkie? To wznoszą się nad inne, to zlewają się z drugiemi, to trącone o przeszkody dna lub brzegu zmieniają się w kształty co raz inne. Ten szum i pęd fal rzecznych w dal niewidzianą nie jestże to wielka gra życia, złożona z niezliczonych postaci, które chwilowo wypływają i opadają, by odpłynąć, jak inne, w dal nieznaną? Jedno w tym żywym i zmiennym obrazie widziałem stałe, niezmienne — dno rzeki widome. Chciałem je nieraz porównać z tem co człowiekowi, co społeczeństwu, jak ono powierzchni wody, daje pewną, że tak powiem pogodę, powab, pewność. Gdzie je widać, tam niemasz obawy nieznanej głębi, lub chłonącego wiru. Tem dnem zdawała mi się zawsze moralność społeczna. Raz przez dni kilka lały deszcze; rzeka wezbrana toczyła fale z szybkością niezwykłą — mętne, czarne kłęby rozbijały się w gwałtownym pędzie — pogodne, przejrzyste wejrzenie rzeki, zamieniło się w jakiś obraz ponury, groźny, nieprzyjaźny — dna nie było widać. I odszedłem bez dawnego zadowolenia — mamże powiedzieć? z jaką odrazą i obawą.

Podobne wrażenie zostawił w nas wspomniony wyżej „dramat opowiedziany.“ Uważamy bowiem powieść jako obraz fragmentaryczny życia, płynącego pełnym strumieniem przez wieki. Cząstkę życia tego odsłania przed nami powieść, aby urzeczywistnić w niej zadanie sztuki — wcielić ideę w kształt widomy. Lecz opowiedzmy wprzód po krótce, ku usprawiedliwieniu powyższych wrażeń, treść „dramatu opowiedzianego.“

Młoda wdowa, pani Eleonora Naramicka, narzeczona pana Adama Mirowieckiego, który dla jej wdzięków zerwał stosunki z równie piękną panną Teklą Łęgowską, otacza się mnóstwem wielbicieli. Obojętna dla wszystkich, znajduje jednak w tem otoczeniu jakiś szczególny powab; żyje nawet jakby w atmosferze sobie właściwej, hołdując zasadom emancypacyi. „Prosiłem, mówi pan Adam po powrocie swoim z Kijowa, aby nie pozwalała z swego budoaru robić kordygardy; graliście tu w karty, paliliście fajki, brakuje tylko powywracanych kieliszków.“ W tem dowiaduje się, że Eleonora jest sam na sam z Karolem Jaratońskim, kuzynkiem swoim w pawilonie ogrodowym. — Oświadczenia miłośne Karola odtrąca Eleonora stanowczo, ale nie bez całusa złożonego na jego czole, i kilku łez uronionych, a powód tego odtrącenia słyszymy w słowach Eleonory: *„bawiłam się dotąd szkiełkami, póki był czas zabawy i igraszek; ale gdy przychodzi pora, że trzeba serjo wystąpić na wielką ucztę życia, muszę się ustroić w brylant (jest to pan Adam) aby świecił jasno i trwale, aby blask jego padał na mnie i. t. d*

— „Więc ty go kochasz!“ zawołał młody człowiek z boleścią.

— „Ja go szanuję,“ odpowiedziała Eleonora, a może i boję się, co mi potrzebne. Nadewszystko zaś wdzięczna mu jestem, że stanął przedemną z ofiarą serca i ręki w tej chwili, gdy mi przyszła reflexya, że życie dłużej potrwa niż powaby ciała“ i t. d.

W tej chwili wpada pan Adam do pawilonu, w gwałtownym gniewie wyprawia scenę, przypominającą owe: *si tacuisses philosophus mansisses,* a kończącą się tem, że Adam, rzuciwszy Eleonorze pęk listów bezimiennych, które go w podróży o jej zachowaniu zawiadomiły, wychodzi i drzwi pawilonu złośliwie na klucz zamyka. To i wyraz *„smarkaczu!“* sprowadza pojedynek między Karolem i Adamem, w którym obaj rywale po trzykroć dochodzą do najbliższej mety, a żaden z nich nie strzelił, czekając na pierwszy strzał przeciwnika. Po tym obopólnym heroizmie, następuje zgoda i przyjaźń między rywalami; ale pan Adam wraca do dawnych swych miłostek w domu państwa Łęgowskich, gdzie przyjęty napowrót w krótkim bardzo czasie zaślubia pannę Teklę. Charakterystyczne jest ukazanie się przed ołtarzem Eleonory w chwili ślubu. — W rok po ślubie na wielkim zjeździe w Humaniu znaleźli się wszyscy prawie aktorowie „dramatu opowiedzianego,“ i powiodło się tak szczęśliwie Eleonorze, że pan Adam przybyły tam na jej wezwanie, znowu rozgorzał miłością ku niej. Odtąd zaniedbuje on żonę, której zgryzoty zdrowie zniszczyły.

Następnie by w obec świata naprawić stosunki z rodziną Łęgowskich, pan Adam wyprawia w domu swoim bal, niby na cześć imienin matki żony swojej, i zaprasza Eleonorę: ale w chwili zaprosin odbywa się scena skandaliczna wzajemnych wyrzutów. Jakby dręczony sumieniem, złości się, że niema dość siły zerwać z kobietą, która go w pęta swe okuła. „Od kiedym przemocy twej uległ, stałem się bydlęciem bezrozumnem i podłem.“ Eleonora pewna,

że nie w jego mocy opuścić ją, daje mu uczuć niedołężność, brak charakteru, tłumaczy swoje zachowanie się jego postępowaniem, a ohydny stosunek, który bez ogródki właściwym wyrazem nazywa (stron. 254) osłania jeszcze miłością ku niemu: „Gdybym cię nie kochała — czyżbym pracowała tak ciężko na utrzymanie, już nie mówię cnoty, bo tej oboje nie mamy, ale na utrzymanie jej pozorów, które nam dają jakieś widmo pokoju, i ośmielają patrzeć w oczy ludziom. — Scenę tę kończy pan Adam temi słowy:

— Daj pokój fochom i obrazom; ubieraj się i przyjeżdżaj (na bal).

— Nie przyjadę, rzekła Eleonora, i usiadła z wyrazem upornego postanowienia.

— Nie przyjedziesz? krzyknął pan Adam z gniewem przystępując do niej.

— Co to jest? rzekła, podnosząc głowę z dumą, chcesz mię przestraszyć krzykiem i zmusić może pięścią?...

— Jak ci się podoba, rzekł pan Adam i — wyszedł.

Taki jest stosunek kochanków dramatu. Mimo to Eleonora przybywa na bal właśnie wtedy, kiedy Adam w obec gości daje rozkaz przywołać żonę chorą na bal, a chorobę nazywa kłamstwem i komedyą. I po chwili wszyscy patrzą na tych oryginalnych kochanków walcujących w najlepszą. Ale wśród tańcu wchodzi do sali chora Tekla. „Na twarzy jej była przerażająca bladość; oczy świeciły jakimsiś ostatnim połyskiem — postąpiła do męża i rzekła: Jam wierzyła, że ty mię kochasz, a tyś nie wierzył, żem ja chora. Kazałeś — jestem. Pada w jego objęcia i — umiera.

Od tego czasu pan Adam okazuje symptomata jakiegoś nieładu w myślach. Jedzie za granicę dla uspokojenia się; Eleonora za nim, i usiłuje zawiązać znowu dawniejszy stosunek. Nareszcie pan Adam wraca, i odwidza codziennie grób żony. Eleonora chce „*wykurować go z tej monomanii*“ i wpada na myśl wcale oryginalną. W dzień rocznicy śmierci Tekli, kiedy właśnie przyjaciele Adama zebrali się w domu jego by go rozerwać, ona zbiera kulig z maskami i muzyką, i przybywa w dóm Adama. Kiedy wszyscy zdumieni tą niewczesną zabawą, ona zakrada się do sypialni z której po raz ostatni wyszła żona jego, i okazuje się tam Adamowi w stroju takim, jaki nieboszczka wówczas miała, Adam wylękniony wybiega z sypialni, wierzy, że widział żonę, w tem występuje mniemana nieboszczka z sypialni do salonu, zrzuca maskę, pada na kolana i składając ręce, mówi: „To ja Adamie, która cię kocham także. Zapomnij o tamtej!“

— „Ty! krzyknął Adam, szatanie wcielony“ i porywając krzesło, podniósł je na przerażoną Eleonorę. Wstrzymano go. Eleonora odjeżdża z kuligu wymawiając te słowa: „Biada mi! już dla mnie niemasz zbawienia.“ Adam padł zemdlony i po chwili żyć przestał. Taka jest treść dramatu opowiedzianego. —

Zawsze byliśmy tego przekonania, że powieść, jakkolwiek na pozór nader swobodnym co do formy zewnętrznej jest utworem, jeżeli ma być policzoną do dzieł sztuki, winna podlegać w istotnej części tym samym warunkom, którym podlegają inne rodzaje piśmiennictwa pięknego, a w ogólności wszystko, co jest dziełem sztuki. Otóż więc nie pojmujemy sztuki tam, gdzie nie widać w utworze poetyckim strony idealnej, której świat zewnętrzny, opisany w powieści, służy tylko za materyał, by ją uwidocznić. Nie pojmujemy sztuki tam, gdzie autor w całej osnowie — w całej tkance, którą przed oczyma czytelników rozwinął — nie odsłonił ani jednej złotej nitki, ani jednego charakteru wznioślejszego, lub woli silnej, lub uczucia w nieskończoność płynącego, lub poświęcenia, owej promienicy dusz wybranych — ani zresztą cokolwiek by przypominało świat lepszy nad powszedni, nad jego wady i ułomności, i było oraz symbolem i zapowiednią tamtego. Spojrzyjmy na społeczność „dramatu opowiedzianego.“ Mało powiemy: to świat powszedni z ułomnościami swemi, z przytępionym wzrokiem, by mógł spozierać w sfery interesów wyższych ludzkości; to kałuża, w której zaczerpniesz błota; czystej wody — ideału sztuki nie zaczerpniesz. Treść przytoczyliśmy; spojrzyjmy jeszcze na osoby działające, i podsłuchajmy ich rozmowy, tam gdzie ich moralna strona, ich dzisiejsza cywilizacya widoczna.

Pan Adam — lat trzydzieści, piękny, silny, czerstwy — serce zużyte — po licznych miłostkach zakochał się w pannie Tekli; potem w Eleonorze; potem wraca znowu do Tekli, i żeni się z nią; potem znowu w związkach z Eleonorą aż do śmierci żony. Człowiek szorstki — wola słaba — charakter żaden. Chociaż uchodzi za półboga w społeczeństwie dramatowem, trywialny wyraz w mowie nawet pośród towarzystwa i w obec kochanki zbyt mu się łatwo wymyka. Owa scena z pięścią i krzykiem do Eleonory, należy gdzieś dalej, jak do salonu; w ogólności tyran dla żony, brutal dla kochanki. Zaledwie uwierzyć można, że taki człowiek po śmierci żony na seryo grób jej odwidza, że są jakieś zgryzoty sumienia, których doznać może serce bez religii i sumienia. Przejścia stanowczego z tego stanu indyferentyzmu nie widać w człowieku, którego wola zawsze jest bezwładna i chwiejna. Psychologya miałaby tu autorowi wiele do zarzucenia. Śmierć jego nagła bardzo słabe ma za sobą motywa; zdaje się raczej, że ją spowodował gniew gwałtowny i apoplexya.

Pan Karol — młodzik bez wąsów — o nim tyle wiemy że odważny, i kocha się szalenie w narzeczonej przyjaciela, zresztą podrzędną ma rolę w dramacie. Zdumiewamy się, jaka atmosfera w tem towarzystwie owiała młode serce; w chwili oświadczeń miłośnych Karol odzywa się do Eleonory słowami nieprzyzwoitości i bez wstydu (stron. 54 wiersz 2. 3. 4.) Czy to należy także do owych różnych emancypacyi dzisiejszego wieku? Słychać wprawdzie tu i owdzie skargi sopranowym głosem, że młodzież dla cygarów rzuca towarzystwo płci pięknej; ale takich dialogów miłośnych, jak pan Karol Jaratoński, nie wyprawia. Upewniamy.

Pan Szambelan — maniera i głowa wywietrzała — jako Argus ze strony pana Adama i jako kuzyn i rezydent Eleonory zarówno niepoczciwy — nawet w dramacie ma reputacyę starego głupca.

Pan Adolf niby bajronista — sceptyk z zasady z jakąś przyprawą mizantropii — w jego zdaniach płochość i kokieterya są jeszcze w obrębach moralności kobiecej; nawet są podniesione do potęgi wdzięku; a przeciwnie „kobieta - anioł“ jeżeli niema odwagi zaopatrzeć się w cizny apteczne, ma najgorsze powołanie na tej zie

Jakże więc struć siebie, czy męża? Nie pojmowaliśmy wielu niedorzeczności we filozofii niemieckiej; ale tego by sam Hegel nie pojął.

Pan Kazimierz — niezły człowiek, ale nie przyjął żadnej ważnej roli w dramacie opowiedzianym. Reszta męskich postaci wcale poślednia czeladź.

Pani Eleonora — widzieliśmy ją już w powyższych scenach — pojmuje moralność i decorum w swój sposób. Kokieterya — emancypacya — obłuda w celu ratowania pozorów, któremi osłania zepsucie — jakieś elastyczne zasady obowiązków i powinności (biada, kiedy kobieta o nich filozofuje) — żal za cnotą obok otwartego hołdu występkowi — niby głównie parol zagięty na Adama, a obok upodobania w długim szeregu wielbicieli — zepsucie odziane jakąś konwencyonalną moralnością — serce bez wiary. Mimo rozumu, który jej przyznaje społeczeństwo dramatowe, koncept kuligowy w rocznicę śmierci trąci nietylko płytkością i brakiem sądu o tem, co, gdzie i kiedy, lecz oraz nieuszanowaniem boleści cudzej. Łatwo się domyśleć, jak było dalej z tą nowożytną Magdaleną, wychowaną jak mówi pan Adolf na podolskiej pszenicy, kiedy swą rolę kończy słowami: „już dla mnie niemasz zbawienia!“ — Wierzymy najmocniej, ze to fatum mogło tylko w dramacie spotkać podolską pszenicę. Panna Tekla czyli później pani Adamowa — piękna, młoda — charakter bierny — nieszczęśliwa. Szczególne to zjawisko psychologiczne, wrócić po wzgardzie do dawnej miłości, i stanąć z przeniewiercą przed ołtarzem. Mówią, że w tym razie psychologia między polkami ściśle trzyma się reguły; wyjątki zostawione dla gąsek.

Państwo Łęgowscy, rodzice pani Adamowej — ojciec, gastronom obrzydliwy i powszednia samolubna dusza — ludzie, którzy dla kuchni i błyskotek poświęcają córkę. — Panie Plotkowska, Nowinkowska i Fabulicka zapowiadają nazwiskami czem są. Panna Aniela jest rzadko na scenie i mało co wspiera główne działanie. Jedna panna Katarzyna guwernantka, nie należy głową i sercem do tej społeczności; lecz rolę ma podrzędną. I oto świat dramatu opowiedzianego.

Gdzież jest strona idealna utworu poetycznego? Kto tu jest piastunem idei? Czy osoby, czy rzecz sama? — Ani rzecz, ani osoby. Upadek moralny stoi na pierwszym planie osnowy, i jest niemałą sprężyną w całem działaniu. Usposobienia lepsze nie wcieliły się w ludzi czynu, charakteru i silnej woli gotowej do walki i poświęcenia; pozostały w głębi sceny nieczynne, lub całkiem bierne, a ztąd w osnowie brak wyższego estetycznego interesu. Pod względem artystycznym dramat opowiedziany niema istotnego znamienia sztuki; jest to rzecz, w ogóle uważając, nie wiele lepsza od osnowy w aktach trybunalskich spotykanej. Może ona rozciekawić umysły niedaleko sięgające, może zająć na chwilę niektóremi scenami i obrazami, może zasmucić serce poczciwe i myśl czystą upadkiem moralności społecznej; ale podnieść ducha, obudzić uczucie godności, krzepić wiarę w zacność rodu ludzkiego przez okazanie walki obłąkanych uczuć z ważnością obowiązków, przez stawienie dobrego w zapasach ze złem, — tego dramat opowiedziany nie zdoła. Epoki upadku obyczajności i szlachetnych popędów w społeczeństwie, nie były nigdy przybytkiem sztuk pięknych. Jesteśmy dalecy od tego, aby schlebiać wadom i narowom w narodzie; wiemy, że jest tu i ówdzie chwast i zgnilizna, jak jest i był zawsze na tym świecie; ale dramat opowiedziany robi z wad i brudów ogólniki dotyczące całych warstw społecznych, bez postanowienia obok nich wizerunku zacnych jednostek, które przecież zawsze i wszędzie były. Z tego niewyprowadzamy różnych możliwych konsekwencyi; ale konsekwencya dla sztuki żadna. Znakomity mistrz rozminął się z jej warunkami; osnowa spadła do rzędu baśni, lub zdarzenia pospolitego. Z tego rozbratu z warunkami sztuki, wynikło, że dramat przybrał koloryt tak jaskrawy, iż niszczy prawie ułudę rzeczywistości, którą chce przedstawić. Już na wstępie wita czytelnika jakaś atmosfera orgiów odbywających się w domu Eleonory. Sama rozmowa towarzystwa ma niekiedy coś tak gminnego, zepsutego, iż niedaremnie mówi przysłowie: jakie źródło taka woda. Sądząc z barwy miejscowej, (której obraz dać wierny, choćby nawet cum grano salis, jest obowiązkiem mistrza) musielibyśmy dziwne mieć wyobrażenie o owych paniach Sędzinach, Chorążynach, Marszałkowych, Deputatowych — o owej zamożnej warstwie społeczeństwa, która u nas przedstawia cywilizacyą; których ojcowie bogobojni stawiali skromność w słowie za pierwszą regułę w towarzystwie, i którzy dziś przecie, jeżeli dramat niechce, by to było z wyższych pobudek, przynajmniej z pretensyi salonowej nie mogliby wymawiać słowa, i głosić zdania, jakie im autor w usta kładzie. Przypomnijmy tu, oprócz wzmiankowanych wyżej słów Karolka słowa jednego z należących do towarzystwa, który w obec dam taką ciągnie równoległą między panią Adamową a Eleonorą: „tamto (Adamowa) słoma dla spokojnego woła, ale nie dla takiego arabskiego bieguna jak pan Adam“ — P. Eleonora mówi (stron. 62 wiersz 5. 6. i t. d.) „Nie moja wina, że muszę być taką, jaką mnie robią. Precz więc myśli poprawy, coście miały zatrzeć dawniejsze błędy! precz chęci cnotliwe, coście mię miały postawić na tej drodze równej i łatwej, po której idą zwyczajne kobiety!“ — Bardzo to wygodna filozofia! Można przewidzieć, jak daleko zajdzie kobieta zwolenniczka tejże. Pan Adolf daje objaśnienie: „kochaliśmy się wszyscy w niej; każdy z nas miał swój dzień i swoją godzinę, w której mógł powiedzieć: „ona mię pokocha.“ Ale żaden z nas nie wykrzesał ani jednej iskierki uczucia. To, i komentarz do rozmowy w pawiloniku (stron. 32) „gdzie wszystko zachęca do grzechu“ i owa paralela między Włoszką, Francuzką i Polką, stawiają Eleonorę, jeżeli nie w rowie, to na samej krawędzi rowu, na którego dnie błoto. My jeden tylko komentarz mamy do tego obrazu, mającego na celu być ogólnikiem. Kobieta bez wiary w sercu, bez szacunku dla opinii, a z pretensyą do nadzwyczajności — zgubiona. Ależ i autor, mówiąc o spacerze na Zofijówce, i o ślicznych dziewczątkach, używa wyrazu, któregoby sam, jesteśmy pewni tego, ani przed dziewczątkiem, ani przed jego mamą nie użył. Czyliż czytelnik niema tych praw, co mama lub śliczne dziewczątko; a szczególnie gdy zdanie w tych wyrazach zawarte, chce niby zawrzeć w sobie alfę i omegę przeznaczenia panienki. Są zdania wiele prawdy w sobie zawierające, a przecież niezawsze mogą być objawione słowem dla względów towarzyskich. To, zdaje się, jest jakiś lapsus calami. —

Nie wchodzilibyśmy tak szczegółowo w rozbiór tego utworu, gdybyśmy odczytawszy, nie wynieśli z niego potrzeby względu na publiczność i na młodych powieściarzy, którzy wraz z nami nawykli uważać autora jako gwiazdę pierwszego rzędu w pięknej literaturze naszej. Co do pierwszej, uważamy za obowiązek sumienia literackiego: nie odziewać zepsucia płaszczykiem towarzyskiego obyczaju, mody, lub dobrego tonu; nie pokrywać sposobności do złego pokostem rozrywki, krotofili; nie wznosić płochości, kokieteryi do wysokości wdzięku, albo tak zwanej soli życia towarzyskiego; ani też stwarzać jakąś moralność konwencyonalną; bo cóż wtedy zasady religii i zdrowego rozumu? W ogólności wiatr, który wieje z romansów Pawła Koka i spółki, niech nas nigdy nie dolatuje. Winniśmy to i społeczności i literaturze naszej. Co do drugich, radzibyśmy, aby dla ciekawej gadki nie poświęcali nigdy istotnych warunków sztuki. Przestańmy się łudzić, że powieść jest najłatwiejszym utworem poetyckim, i że byle jakąś ciekawą rzecz gładko i dowolnie napisać, byle dialog zręcznie i dowcipnie prowadzony, byle jak powiadają był początek, środek i koniec, już jest wszystko. Tak gładko, tak zręcznie i po mistrzowsku opowiedzieć i odmalować, jak autor „dramatu opowiedzianego“ nie wielu pisarzom dano; a przecież to nie wszystko. Naszem zdaniem, powieść, jako utwór sztuki, nie małem jest zadaniem, i dla tego nie małem, że właśnie mimo zewnętrznej bezkształtności czyli raczej dowolności — w tym strumieniu i jego goniących się, wznoszących lub rozpryskujących falach, mamy ujrzyć to, co serce podnosi, co ducha uzacnia i krzepi — mamy ujrzyć ideę. Inaczej jak od mętnej rzeki odejdziemy z uczuciem odrazy, a może nawet obawy.

Stanisław Pilat.

Kronika literacka.

Wyszedł pierwszy numer *Czytelni dla młodzieży.* W naszych czasach najwidoczniej objawia się postęp w podziale pracy. Do tego wszystko dzisiaj dąży. Mamy lekarzy dla dzieci i starych, uczeni dzielą się gałęziami umiejętności i pracują spokojnie obok siebie. Dla pewnego wieku piszą się książki, wychodzą czasopisma. Tak zwane uniwersalne pisma nie są już dzisiaj na czasie. Dlatego z radością powitaliśmy *Czytelnię* pana Cieszewskiego wyłącznie młodzieży poświęconą i mamy nadzieję, że p. Cieszewski tego założonego celu z oka nie spuści.

Jan Chęciński, autor komedyi: Szlachectwo duszy, wydał nakładem księgarza A. Nowoleckiego w Warszawie: *Poemata mniejsze i strofy ulotne.*

X. Walerjan Serwatowski, profesor teol. w Tarnowie, wydał nakładem J. Ungra w Warszawie: *Nauki parafialne dogmatyczne dla ludu wiejskiego* na wszystkie niedziele i niektóre uroczystości.

Alexander Połujański wydał w drukarni Gazety Codziennej w Warszawie: *Wędrówki po gubernii augustowskiej w celu naukowym odbyte.* Dzieło to obszerne (450 stronnic) obejmuje malowniczy opis kraju i mieszkańców gubernii augustowskiej, charakter, obyczaje i zwyczaje ludu, stan rolnictwa, gospodarstwa technicznego i handlu, oraz opis miejsc pojedynczych i ich dzieje.

Mich. Chodźko wydał w Paryżu *Manfreda lorda Byrona* w przekładzie rymowym. Wydanie ozdobne z czterema drzeworytami podług rysunku Kossaka. Tenże autor ogłasza także przekład: *Werthera* Göthego z rycinami.

Revue Contemporaine zamieszcza studya o literaturze polskiej p. Wincentego B. pod pseudonimem Paul de Saint-Vincent pod tytułem: *Poeci i pisarze polscy nowszych czasów.* Pierwsze studyum jest o Mickiewiczu, drugie o Z. Krasińskim, ma nastąpić studyum o W. Polu.

P. Jozafat Ohryzko w Petersburgu, były redaktor dziennika polskiego pod tyt. Słowo, który został zakazany, wydaje obecnie przedruk *Voluminum legum*, których trzy tomy już wyszło. Drukuje on także: *Żywot i dzieła Göthego*, zarysy wieku jego i jego współczesnych ze źródeł ogłoszonych i nieogłoszonych drukiem; napisał po angielsku G. H. Lewes, przekład Antoniego Nowosielskiego. Tom drugi ekonomii politycznej Milla w przekładzie polskim wyjdzie wkrótce. Pisma zbiorowego zawierającego prace naszych tutejszych znakomitości a współpracowników pisma naszego wyszedł już tom pierwszy. Podamy o niem wkrótce dokładną wiadomość.

Prof. Ant. Waga wydał pierwszą część swojej *Historyi naturalnej.* Dzieło to znanego z kąd innąd zaszczytnie naturalisty naszego odznacza się popularnym i jasnym wykładem obok ścisłej naukowej systematyczności. Godne ono dokładnego rozbioru.

Gorliwość obywatelstwa w krajach zabranych o rozszerzenie oświaty i wzrost literatury objawia się tam czynnie w sposób godny rzeczywiście największych pochwał, gdy już się nie możemy zdobyć na to, by ich naśladować. Zaledwie że powstała tak zwana Spółka Żytomierska, która nie została ostatecznie rozwiązaną, tylko potrzebuje dopełnić pewnych formalności, by wejść w życie, natychmiast podobna instytucya zaraz i w Wilnie została utworzoną. Jednak w Wilnie wzięto się roztropniej do rzeczy. Pan Kirkor znany pisarz a niedawno redaktor *Teki Wileńskiej*, dziś *Kurjera Wileńskiego*, założył przy pomocy kilku obywateli litewskich drukarnię w Wilnie jedynie w celu zniżenia cen na książki polskie. Dla nadania drukarni pewnego moralnego znaczenia i odróżnienia jej od zwyczajnych tego rodzaju przedsiębiorstw handlowych, złożony został komitet redakcyjny, w którym między innemi przyjęli udział pp. Eust. hr. Tyszkiewicz, M. Malinowski, M. Baliński, A. E. Odyniec, A. Adamowicz, J. Chodźko i inni. Komitet ten przeziera każde dzieło i ocenia czy godne druku i może jakąkolwiek korzyść przynieść piśmiennictwu. Z tej drukarni mają wyjść dzieła: *O Tryptyku p. Józefa Kremera, Sztuka u Słowian J. I. Kraszewskiego*, nareszcie *Daniłłowicza Skarbiec Dyplomatów* wielkoksiążęcych, królewskich, cesarskich, bull papiezkich, aktów publicznych i uchwał sejmowych, oraz wyciągi z kronik dla krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy.

W Wilnie wyszedł tom piąty *Żywotów Arcybiskupów Gnieźnieńskich.* p. M. Malinowskiego.

Przekładów podróży wyszedł w Wilnie tom VI., *J. Kremera Podróży do Włoch* tom II.

Humboldta Podróże po Rossyi europejskiej i azyatyckiej, Afryce i Ameryce w tłumaczeniu Bohusza Szyszki wyjdą w 4 tomach.

P. Floyran Czepieliński wydał w Mińsku *Gramatykę teoretyczno-praktyczną*, której część teoretyczna jest kompilacyą Łazowskiego i Muczkowskiego.

Dr. Ludwik Adolf Neugebauer, profesor akuszeryi w med. chir. akademii warszawskiej, ogłosił przedpłatę na dzieło 80 arkuszowe p. t. *Anatomia opisowa ciała ludzkiego.*

W Pradze zaczął wychodzić *Czasopis katolickeho duchovenstva* pod redakcyą znakomitego autora czeskiego Karola Vinarzickiego kanonika w Wyszehradzie. Pomijamy tu program pisma jako mniej nas obchodzący i przytaczamy tylko z programu ustęp cechujący dzisiejszy stan literatury czeskiej: Redakcya zaprasza do współpracownictwa i oświadcza, że przyjmuje zarówno prace literackie w języku czeskim jak w niemieckim pisane. O dobre tłumaczenie artykułów niemieckich postara się redakcya sama. W artykule wstępnym pierwszego zeszytu znajdujemy ciekawy pogląd na stan oświaty w krajach czesko-słowackich. Autor zalicza oprócz Czech, Morawii

i węgierskich Słowaków także i Szlązk do tych krajów. Na sześć milionów ludności liczą te kraje 5000 szkółek farnych i filialnych i 3000 kazalnic, gdzie wspólny ich język jest organem nauki ludowej. „Dokąd jednak ani nauka szkolna, ani głoszenie słowa Bożego nie sięga, tam wnika narodowa literatura, tj. pod strzechę domową.“ Dalej zwraca ksiądz Winiarzycki uwagę na obowiązki duchowieństwa i nauczycieli względem szerzenia narodowej oświaty i daje obraz wzrostu literatury czeskiej. — Cóż za przykład zawstydzający dla nas! Gdzież jest u nas prałat, któryby tak się odzywał, gdzie pismo w takim celu wydawane, gdzie taki rozchód płodów literackich? Z czeskich drukarń wychodzi co roku pół miliona rozmaitych książek szkolnych, książek do modlenia przedaje się rocznie do 80.000, kalendarzy niemniej. Bractwo Sto. Jańskie wydaje rocznie 27.000 egzemplarzy swoich druków, bractwo św. Metodego 10.000 i więcej. Piękna i naukowa literatura doznaje podobnie znacznego wzrostu. Książek wydawanych przez czeskie Muzeum drukuje się 5000, słownika naukowego 7000 egzemplarzy (a przedaje się 5000). Dziennikarstwo wzmaga się coraz silniej. Najdawniejszy czeski dziennik *Muzejnik* (wychodzi od r. 1827) poświęcony poważnym naukom, *Żiwa* naukom przyrodnym, wydaje jako dodatek *Lekarza domowego* i *Przemysłowca*. Oprócz tego wychodzą do tego zawodu należące: *Hospodarskie Noviny*, *Obecne nauczne listy i Przyjaciel zwierząt* (w Bernie). *Poseł z Pragi* jest pismo poświęcone rozrywce, przemysłowi i sprawom publicznym. *GwiazdaOłomuniecka* popularno naukowe pismo. Trzy istnieją dzienniki polityczne: *Nowiny* pragskie, morawskie i słoweńskie, te ostatnie z dodatkiem naukowo-literackim pod nazwą *Svetozor; Lumir*, poświęcony literaturze pięknej wychodzi w dwuarkuszowych zeszytach co tydzień; *Dalibor* poświęcony muzyce i spiewom. Pedagogia ma swój organ w pismie *Szkoła i życie* z dodatkiem *Sztiepnice* dla rozrywki i rocznikami: *Zbornik i Szkolnik* (w Królogrodzie). Religijne: *Blahovest* (w Pradze), i *Głos katolickiego bractwa* (w Bernie).

W Lipsku nakładem D. E. Friedleina wyszło *Album obrazów wystawy krakowskiej* z textem objaśniającym Lucyana Siemieńskiego. Składa się z 8 bardzo starannie litografowanych arkuszy.

Pismo rossyjskie *Ruski Wiestnik* zawiera w zeszłorocznych zeszytach ciekawy artykuł o małorosyjskiem Kozactwie znakomitego S. M. Sołowjewa. Numer listopadowy tego pisma zawiera list M. Maxymowicza prostujący i dopełniający niektóre podania Sołowjewa, mianowicie o hetmanach. Sołowjew twierdzi że kozak i zbiegły chłop były synonima. Maxymowicz przypisuje to porównanie arystokratyczno-polskiemu poglądowi późniejszemu.

P. Michał Mrozowicki ogłosił konkurs do napisania dziełka dla ludu. W następnym numerze zamieścimy warunki tego konkursu.

Literaci zmarli w Styczniu i Lutym r. 1860.

Corocznie zabiera śmierć około 30 mężów nauki, którzy w literaturze naszej mniejsze lub większe położyli zasługi. Gołuchowski, Muczkowski, Walicki, Wojnarowska, Mętlewicz, Paszkowski, Bredkrajcz, Zaborowski, Sękowski, Zagórski i t. d. zamilkli na zawsze w r. 1858. W roku ubiegłym zmarli: Badeni, Tykiel, Lesznowski, Pisulewski, Ostrowski, Fryczyński, Łobeski, Koncewicz, Felińska i inni. Rok bieżący w pierwszych dwóch miesiącach zwiastował nam zgon Cyprysińskiego, Kremera, Kamińskiego i Sienkiewicza.

Antoni Cyprysiński, umarł 15. Stycznia 1860 roku w wieku życia 54. Był zawiadowcą dóbr Ordynata Zamojskiego.— Biblioteka Warszawska, której był współpracownikiem od jej zawiązku, wielbi jego naukowość wszechstronną i przyznaje mu niemal genialność. Szkoda, że prac swych naukowych nie ogłosił drukiem, pozostawił je atoli w rękopismach.

Kremer Karol, umarł 28. Stycznia 1860 w rocznicę urodzin swoich, liczył lat około 50. Był on dyrektorem budownictwa za byłej rzeczypospolitej krakowskiej, obecnie był inspektorem budownictwa; oprócz małych rozpraw *Methodus graphica inveniendi puncti splendidi* (1834.) *O ważności zabytków sztuk pięknych w naszej ziemi* (1850.) *O ratuszu krakowskim* (1851). *O czynnościach oddziału archeologii w Tow. nauk. krak.*, którego oddziału był przewodniczącym (1859) nie pozostawił więcej prac naukowych. Zasłużył się atoli więcej jako restaurator kilku gmachów pomnikowych krakowskich, (brama floriańska, teatr, biblioteczny gmach i t. d.) i jako gorliwie chodzący około zachowania pamiątek archeologicznych w Krakowie. Był on bratem młodszym Józefa Kremera urodzonego około roku 1806, a starszym Aleksandra Kremera Dra medycyny w Kamieńcu podolskim, tłumacza podróży do Chin Huca i autora dzieła: *O zastosowaniu słuchu do rozpoznania chorób* (1841).

D. n.

Kronika sztuk pięknych.

Gaz. Codz. zapowiada wydanie spiewu na baryton do poezyi W. Pola, pod napisem: *Dzwon Zygmuntowski* przez p. Müllera.

Tytus Rolli ułożył muzykę do poezyi A. Mickiewicza, pod tytułem: *Spiew do Laury*.

Między młodzieżą kształcącą się w sztukach pięknych w Monachium, mają się znajdować polacy malarze: Skirmunt z Litwy, Ostrowski Leon z Galicyi, Gryglewski z Krakowskiego, Panther ze Lwowa, Reichenberg z Sambora. — Rzeźbiarze: Filippi z Krakowa i Serewicz z Kaliskiego. Odjechali niedawno z Monachium Maszkowski (Lwowianin) i Młodzicki do Drezna, Jabłoński do Rzymu, Mencel (rzeźbiarz z Warszawy) do Florencyi. Nasza kraina dostarcza największego kontygensu.

W fabryce Karola Mintera w Warszawie wyrabiają odlewy pamiątek ojczystych. Obecnie wykonano tam podług modelów pana Święckiego odlewy bronzowe: Wacława króla polskiego i czeskiego, Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły i Jadwigi, Władysława Warneńczyka, Alexandra i Jana Olbrachta, Zygmunta Augusta, Henryka Walezego, Władysława IV, Zygmunta III, Jana Kazimierza, Jana III. Sobieskiego, Augusta II. i Stanisława Augusta. Przysposobione zaś są modele do Bolesława Chrobrego, Ludwika i Zygmunta I. Wykonano tam także bronzowe odlewy: Jana Tarnowskiego, księcia Józefa Poniatowskiego wielkości i na pendent płaskorzeźby Kościuszki (z oryginału Dawida); Ambrozy Grabowski, Józef Kremer i Adam Mickiewicz. Z wszystkich tych ojczystych medalionów nie widzieliśmy ani jednego dotąd we Lwowie ani w handlu, ani w prywatnych domach. Prędzej się tam zdybać można z pierwszym lepszym włoskim lub niemieckim muzykiem, niż z polskim królem albo bohaterem, a o ludziach pióra już nawet nie mówimy.

P. Apolinary Kątski jako dyrektor instytutu muzycznego warszawskiego ogłosił pierwszą listę fundatorów i protektorów tegoż zakładu. Znajdujemy na tej liście *cztery* podpisy po 1000 rubl. *ośm* po 500 rś.; protektorskich stypendjów po 300 rś. *dwadzieścia i sześć*, ze składek po redakcyach dzienników i u prywatnych osób razem wpłynęło w Styczniu do 300 rś.

W Rzymie w Watykanie znajduje się obraz *Anioła z Fiesole* wystawiający *Żywot i cuda św. Jacka* apostoła polskiego. Żywot św. Jacka opisał w najnowszych czasach (w r. 1857) *Dominik Bertolotti* z Medyolanu pod tył: *Vita di san Giacinto* etc. podług rękopismu Stanisława Krakowczyka z r. 1350 który pozostał od czasu kanonizacyi w aktach watykańskich, podług zbioru L. Albertego, Bollandystów, Bzowskiego i t. d.

Od redakcyi.

Do wymienionych w programie artykułów pisarzy naszych, które w początkach naszego pisma umieszczone będą, doliczamy prace: *Walerego Łozińskiego*, *Stanisława Przyłęckiego*, *Jana Wagilewicza, Karola Widmana i Hipolita Witowskiego*.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.*

Z prasy pospiesznej E. Winiarza.